

Nasza nowa powieść.

W bieżącym numerze rozpoczynamy druk nowej powieści p. t. „Człowiek bez twarzy“, pióra jednego z najwybitniejszych autorów francuskich, Alberta Boissiera'a. Młody ten pisarz zdobył sobie już taką poczytność, iż cały pierwszy nakład powieści: „Człowiek bez twarzy“, został rozsprzedany w niespełna dwa tygodnie.

Nadzwyczaj zajmująca powieść Boissiera'a obudziła niezwykle zainteresowanie w całym świecie dzięki swej treści, opartej na autentycznych tragicznych wypadkach, jakie się rozegrały w rodzinie pewnego artysty i pewnego finansowego potentata amerykańskiego.

Mamy też niepłonną nadzieję, iż utwór ten, pozbawiony wszelkich cech kryminalnych romansów, a przytem nadzwyczaj sensacyjny i napisany z wielkim talentem, będzie się podobał P. T. Czytelnikom.

Człowiek bez twarzy.

1

I.

Wracałem z nad brzegów Marny z kilkoma zaledwie płótkami po kilku godzinach niewdzięcznej pracy, gdy nagle, przechodząc koło parkanu małej willi, obrośniętej bluszczem, usłyszałem cokolwiek przestraszony głos emerytowanego oficera, zwanego powszechnie w okolicy „Mrugaczem“:

— Barrabas! Panie Barrabas!

Podszedłem bliżej, by dowiedzieć się, czego ode mnie żąda, gdy niespodzianie bez żadnych ogródek objawił mi straszną wieść:

— Niech pan śpieszy do domu! Przed chwilą znaleziono pańską żonę w kałuży krwi!

Po słowach tych, nie dodając żadnych wyjaśnień, obrócił się po wojskowemu na pięcie i znikł szybko w alei z róż, wiodącej do głównego wejścia willi. Przyjąłem to za niesmaczny i grubiański żart, jakiego zresztą można było się spodziewać po jego autorze, znanym narwańcu. Za całą odpowiedź usłyszał on tylko jeden z mych częstych wybuchów śmiechu, jakie mi ciągle wyrzucano, uważając to za dowód lekkomyślności, nieostojności dla człowieka, obarczonego już piątym krzyżykiem; mimo mych czterdziestu pięciu lat uchodziłem bowiem za niepoprawnego łobuza.

Nie śpiesząc się wcale, tym samym równym krokiem, z wędką na ramieniu i fajką w ustach ruszyłem naprzód... Skręcałem już na boczną drogę, gdy matka Carré, zajęta rozwieszaniem na żywopłocie swych świeżo upranych chust, rzuciła nagle swą robotę i zwróciła się do mnie takim samym drżącym ze wzruszenia głosem:

— Panie Barrabas! Niechże pan się śpieszy, na miłość Boga! Nie wie pan jeszcze o nieszczęściu, jakie pana czeka!

I ona również odwróciła się potem do mnie plecami i szybko pobiegła do swego domu, jakby się niespodzianie przestraszyła mych długich włosów artysty, jakimi się pyszniłem i mej szeroko rozrośniętej brody...

Przechodził jakiś murarz ze swym pomocnikiem i on także, zwracając głowę w przeciwną do mnie stronę, mruknął, ale nie tak cicho, bym nie dosłyszał:

— Nie bardzo mu pilno! Eh, ten Barrabas, wariacki król.

Jak emerytowany oficer, ochrzczony Mrugaczem, tak i ja nigdy nie obrażałem się swem przewiśkiem, zwłaszcza w tych stronach, gdzie sąsiedzi znajdują jakąś specjalną przyjemność w nadawaniu sobie wzajemnie najrozmaitszych, często śmiesznych przydomków... Mój zapewne pochodził z tego powodu, że życie me pełne prostoty, pozbawione wszelkich kłopotów i ambicji, płynęło w oczach wszystkich zupełnie spokojnie, z myślą tylko o żonie Gabryeli, synu Polidorze i córce Ewelinie... Ludzie, którzy życie swe marnują na daremne zabiegi, krzywo na mnie patrzyli, widząc jak wygrzewam się na słońcu z fajeczką w ustach, wysiaduję nad rzeką z wędką w rękę i śpiewam od rana do wieczora. Ludzie, którzy nie umieli upiększyć swego życia choć odrobiną sztuki, wskazywali na mnie palcami i nazywali wzdargliwie „artystą“, uważając me rzeźbienie za bezpożyteczną stratę czasu. Proszę dodać do tego me długie włosy i rzucanie w rozmowie paradoksów, a okaże się zupełnie zrozumiałem, dlaczego uchodziłem w Bry za oryginała i dlaczego ozdobiono mnie tytułem „wariackiego króla“, rzuconym mi w przejściu przez murarza, dokładnego wyrażiciela opinii publicznej.

Ani słowa „Mrugacza“, ani wezwanie do pospiechu matki Carré nie przestraszyły mnie wcale. Było dla mnie fizycznie wprost niezrozumiałem, aby w biały dzień zamordowano moją żonę, którą o ósmej rano zostawiłem w towarzystwie syna, córki i służącej, w naszej odosobnionej, co prawda,

trochę willi, ale nie tak oddalonej od innych domów, by być narażonym na takie niebezpieczeństwo. Z ciekawości też jedynie, przyspieszyłem cokolwiek kroku.

Było punktualnie dziesięć minut po jedenastej, gdy popchnąłem furtkę naszego ogródka. Cisza mojego małego domku, kąpiącego się w potokach złotych promieni słońca i ocienionego gęstymi zwojami pnących roślin, najlepiej zaprzeczwała gadanie o dramacie, zmyślonem przez napotkanych plotkarzy. Brutus, śpiąc wygodnie w swej budzie pod cieniem kasztana, zaledwie raczył z rozleniwienia podnieść jedną powiekę i rzucić mi na powitanie ospałe, zielonkawe spojrzenie.

Pociągnąłem za klamkę od drzwi i wszedłem do środka. Prawdę powiem, że zdejmując z siebie swe przyrządy rybołówcze, byłem trochę zaintrygowany, dlaczego naprzeciw mnie nie wyszła ani Gabryela, ani Polidor, ani Ewelina, kaszlałem więc głośno i nawet zanuciłem jedną zwrotkę ze swego repertoaru, by oznajmić swój powrót... Milczenie jednak nie ustawało... Otworzyłem drzwi do pokoju jadalnego... Nikogo! Wszedłem do swej pracowni rzeźbiarskiej i tu przerażający widok, jakgdyby przykuł mnie na miejscu...

Przed długą i szeroką kanapą, na dywanie, z twarzą, zwróconą do podłogi, z wyciągniętymi rękami, z dłońmi, zaciśniętymi kurczowo, leżała Gabryela, ma ukochana żona... Ze strzaskanej skroni, przez którą uleciało już życie, spływała krew, znacząc się wielką, czerwoną plamą... W tej rozpaczliwej dla mnie chwili zdawało mi się, że serce me przestaje bić, że dusza ulata z piersi, a na jej miejscu powstaje jakaś gniotąca pustka...

Padłem na kolana przy zwłokach i schwyciłem jej zimne, zeszytwniałe już ręce; wpatrywałem się w jej błękitne oczy i w zaciśnięte usta, które zawarły się, jak gdyby nie chciały wyjawiać tajemnicy rozegranego tu dramatu!... Więcej, niż ta przerażająca rana, więcej niż szkliste jej oczy, przestraszały mnie te nieme, z nabrzmiałymi wargami usta, w których widziałem tajemniczy symbol tego, czego nie mogłem ani przypuszczać, ani odgadnąć!... Oczy me dojrzały leżące na dywanie narzędzie zbrodni. Był to zwykły młotek o krótkiej rękojeści, którego ciągle używałem przy wykuwaniu z marmuru rzeźbionych przez siebie postaci.

Z młotka oblepionego krwią i przyschniętymi włosami ofiary, wzrok mój przeszedł na stojący w pośrodku pracowni biały, niewykończony posąg, do którego pozowała mi Gabryela; oczy me napełniły się łzami na widok martwego, mego ukochanego modelu i jakby odżywającej teraz w marmurze statuy... Rozpacz powaliła mnie na ziemię...

Wreszcie opanowałem się i wybiegając z pracowni, zawołałem ze wszystkich sił:

— Ewelino! Polidorze!

Ani syn, ani córka nie odpowiedzieli na moje wezwanie. Przeskakując po kilka naraz schodów, pobiegłem na górę, przeczuwając nowe jakieś nieszczęście. Jak poryw wiatru wpadłem do pokoju córki...

Na łóżku, zastoniętem białymi firankami, leżała Ewelina, jakby pogrążona w śnie, z rękami złożonymi, bez najlżejszego oddechu, bez najmniejszego drgania mięśni na jej pięknej, bladej, niby woskiem pociągniętej twarzy. Ścisnąłem jej małą rączkę, na której świecił się cienki pierścionek z małym szmaragdem i potrząsając nią, błagałem:

— Ewelino!... Moje dziecko najdroższe!... Ewelino!...

Pozostała nieruchoma, niema na me prośby; pojąłem, że leży w omdleniu... Polidora nie zastałem w jego pokoju. Obszedłem już cały dom bez najmniejszego skutku, gdy nagle, wchodząc na strych, zdawało mi się, że dosłyszał jakiś jęk przeciągły, dobywający się z kąta, gdzie składano brudną bieliznę... Skierowałem się tam po omacku. Jakaś gorąca i drżąca dłoń schwyciła mnie za rękę... Jednocześnie rozległ się łkający głos:

— Łaski!

Uczułem, jak zimny pot mnie oblewa... W ciemności tu panującej zamigotały przedemną dwa

punkty świetlne, były to oczy mego syna. Ścisnąłem silnie rękę, która zresztą nie opierała się wcale i z tej nory wyciągnąłem na światło drżącego na całym ciele, z obłąkanym wyrazem w oczach, mego syna Polidora, którego kochałem jak siebie samego... I w tej chwili tragicznej doznałem dziwnego, niezwykłego wrażenia, że to ja, Barrabas, którego dobrzy ludzie w swej głupocie przezwali królem wariatów, byłem zabójcą własnej żony, umiłowanej towarzyszką mego życia i że to ja, nikt inny, tylko ja, drzę teraz z przestachu przed Polidorem i że ja sam doprowadziłem do omdlenia swą najdroższą córkę, Ewelinę.

Polidor, bezsilnie ślaniający się na nogach, zdawał się osłaniać ramieniem przed ciosami, jakich nie miałem nawet na myśli mu zadawać. Nie puściłem jego ręki, która w dłoni mej była ściśnięta jakby w kleszczach i tak razem zesłaliśmy na dół. Pociągnąłem go zaraz przed zwłoki matki i zawołałem stłumionym boleścią głosem:

— Wytłómacz mi zaraz!... Nic nie rozumiem!

Ten duży dwudziestoletni chłopiec roześmiał się tylko jakimś obcym mu, bezdusznym i bezmyślnym śmiechem idyoty i wyjąkał:

— Już się stało! Kucharka pobiegła do Nogent zawiadomić żandarmeryę.

— Lecz kto zabił matkę?... Kto?... Kto?...

— To ja... i to nie ja!... Nie ścisłaj tak silnie... Boli mnie to!... Zaraz ci, ojcze, wytłómaczę i wszystko zrozumiesz!

Oswobodziłem go z uścisku... Polidor zachwiał się jak pijany. Schwyciłem za młotek mokry jeszcze od krwi nieszczęśliwej ofiary... Nie czułem, co mi mój umysł dyktuje.

— Tak, dobrze! — rzekł Polidor. — Bij! Bij! Nigdy nie będziesz mógł pojąć... Odmówiła mi pięciu luidorów... Och! To coś strasznego!... Lecz ja tego nie uczyniłem umyślnie, przysięgam ci to!

Wtedy z wyczerpania padłem na kanapę i chwytając się za głowę, chciałem ją podstawić pod uderzenia młotka, by raz przestać czuć. Polidor oparł się o ścianę i nagle głośno załkał. Prawdziwą niemożliwością było dla mnie złączenie w jedno przyczyny i skutku... Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, jak mógł ten duży, dwudziestoletni chłopiec, który dotychczas był dla nas prawdziwą radością, zabić swą matkę dla pięciu luidorów, których mu odmówiła.

Polidor był studentem prawa i pilnie uczęszczał na wykłady, posyłał mi skromną miesięczną pensję z dwustu franków; w dzielnicy Łacińskiej uchodził on za rozsądnego młodzieńca... W domu był wzorem dobrze wychowanych dzieci i wuj jego, Marcadian, który nie żywił dla mnie wielkiej sympatii, mawiał żartami: „O ile syn jest rozsądny, o tyle ojciec szalony“.

Pięć luidorów! Przecież on wiedział, że gdyby mi tylko słowo powiedział, znalazłby kieszeńną dla siebie otwartą. Nieraz korzystał on już z niej i zawsze znajdował mnie gotowym do zaspokojenia jego potrzeb! Pięć luidorów!... To było coś niepojętego. Pozostawałem jak oszalały, bez żadnych określonych myśli, spoglądając tylko na leżące u mych nóg zwłoki, patrząc w zamarłe oczy mej drogiej żony... I nagle, jak i pierwszym razem, te usta jej z zaciśniętymi wargami, te usta tajemnicze zajęły całą moją uwagę... Usta jej zdawały się zalecać mi milczenie najzupełniejsze, radziły coś, nakazywały, czego nie umiem wyrazić, a co było straszniejsze od samego dramatu... Wydało mi się, że rozumiem już jej niemą radę, jej błagalny rozkaz... Czytałem go w zmarszczkach dokoła warg, pełnych jakiejś niewypowiedzianej litości, w zamkniętych na zawsze ustach. Polidora kochała ponad wszystko i teraz po śmierci, jak do mnie zdawały się mówić milczące jej usta, przebaczała mu wszystko z serca pełnego miłości macierzyńskiej. Błagała mnie, bym nie był sędzią naszego syna i bym oszczędził mu kary, jaką wymierzyć miała sprawiedliwość ludzka. Lecz w jaki sposób mogłem go od tego uchronić? Nie wiedziałem co począć...

Zapytałem Polidora osłabionym głosem:

— Ewelina wie wszystko?